

Turysta zwiedzający Manilę zobaczy przede wszystkim Intramuros, czyli otoczoną murami dawną hiszpańską starówkę. Zobaczy też zapewne pełne nowoczesnych wieżowców dzielnice Pasay, Malate lub Makati, bo tam będzie jego wielogwiazdkowy hotel (my to sobie uprościliśmy, nasz hotel był w obrębie Intramuros). Nie zobaczy biedniejszych dzielnic (ewentualnie przejazdem i z daleka), chyba że specjalnie po to przyjedzie.

Opisując Manilę nie sposób uciec od książki Wojciecha Tochmana "Eli, Eli", która właśnie o tym mieście traktuje. Autor krytykuje zachodnich turystów przyjeżdżających do krajów trzeciego świata na bieda-safari, fotografujących dzielnice nędzy (slumsy, favele) i ich mieszkańców, po to tylko żeby zabłysnąć chwilową sławą, choćby na własnym fejsbukowym wallu.

A cóż robi sam Tochman? Otóż nie dość, że podaje czytelnikowi biedę-safari w wersji wizualnej (fotografie Grzegorza Wełnickiego), to jeszcze atakuje go tekstem, wzmacniając przekaz reportersko. Te historie są oczywiście smutne, tragiczne i bez happy endu, bo trudno, żeby były inne. Do biedy, nędzy, braku perspektyw dochodzą jeszcze choroby - im rzadsze i zjadliwsze, tym lepiej, bo opowieść bardziej łzawa. Jakby ktoś nie czytał, a miał ochotę, to dysponujemy pdf'em (ale nie wiem, czy polecamy).

Tutaj jeszcze trzeba poruszyć temat tak zwanych "prawdziwych podróżników", którzy tym różnić się mają od turystów, a zwłaszcza masowych, że zamiast zwiedzać czy wypoczywać, "zanurzają się w autentycznej kulturze", spędzając czas wśród tubylców, przemieszczając się lokalnymi środkami transportu, eksponując się na doznania niedostępne w inny sposób.

Ta prawdziwość jest jednak mocno nieprawdziwa. Na przykład tarasy ryżowe w górach północnego Luzonu. Można tu przyjechać klimatyzowanym samochodem z przyciemnianymi szybami (tak, jak my), można nocnym autobusem (dziesięciogodzinna podróż z Manili), można na dachu dżipnej (co to jest dżipnej, będzie później), ale nadal przyjedzie się do tego samego Banaue, gdzie - od czasu, gdy UNESCO rozreklamowało to miejsce - tarasy nie służą już uprawie ryżu (bo taniej i dwa, albo i trzy razy do roku można go uprawiać na nizinach), tylko zanęcaniu turystów. Miejscowi przebierają się w stroje ludowe po to, by pozować do zdjęć za 20 peso. Cepelia, ale wszyscy są szczęśliwi: jedni, bo dotarli we własnym mniemaniu do jądra ciemności; drudzy, bo tym pierwszym coś się z portfela wysypało.

Tak samo w północnej Tajlandii, na wjeździe do wiosek lokalnych plemion znajduje się kasa fiskalna, większość tubylców zdjęła te dziwne obręcze z szyi i pojechała do miasteczka do roboty, a na miejscu są tylko dzieci i staruszki handlujące rękodziełem

wątpliwej (chińskiej) proveniencji. Tak samo wszędzie, gdzie byliśmy i gdzie będziemy, i nie ma co udawać, że jest inaczej. Wszyscy gramy w ludzkie zoo, ale udajemy mniej lub bardziej zapalczywie, że wcale nie. Turyści zmieniają drastycznie realia ekonomiczne lokalnych społeczności, bo nagle się okazuje, że z pokazywania (przykładowo) babci przeżuwającej maniok są znacznie większe pieniądze niż z tego całego przeżutego manioku. Przylecieliśmy na Filipiny samolotem, więc trudno oczekiwać, że cywilizacja się nam tutaj cofnie o kilka etapów do tyłu. To mniej więcej tak, jakby turysta przyleciał na Okęcie i kazał się wieźć furmanką do Łowicza, bo tam gospodynie rzeźbią coś w glinie, a gospodarze tną na fujarzy, a wszyscy w zapaskach, łapciach z łyka i strojach ludowych od rana do wieczora, bo jedynie w ten sposób dozna i pozna prawdziwą Polskę.

Potrafię sobie wyobrazić atmosferę (we wszystkich tego słowa znaczeniach) całonocnego autobusu wyładowanego po dach miejscowymi i ich bagażem (a nierzadko i inwentarzem), jestem w stanie sobie wyobrazić, jak bardzo byłbym zmęczony po takiej podróży - nie muszę tego doświadczać. Bieda (mniej lub bardziej relatywna) jest wszędzie, nie trzeba jeździć do Azji, żeby się nią ekscytować, wystarczy w Polsce powiatowej trafić do wsi post-pegeerowskiej. "Podróżnicy" piszą, że dzielnice biurowców i apartamentowców są 'nieprawdziwe', są atrapami miasta i fałszują obraz Manili, bo przecież kilka kwartałów dalej ludzie mieszkają na cmentarzach czy w jakichś slumsowiskach w skrajnej nędzy, bez dostępu do Starbucksów. Wszystko w porządku, rozumiem argument, ale przecież nikt nie upiera się, że Wilanów daje reprezentatywny obraz Warszawy.

No, ale wróćmy do Manili (choć wracać będziemy do niej kilka razy, bo każdy etap naszej podróży po Filipinach zaczyna się i kończy tam właśnie). Intramuros zostało dość pieczołowicie odbudowane w latach 50 ubiegłego wieku. Główną atrakcją Intramuros jest XVI wieczny fort Santiago. (Nota bene, vis-a-vis wejścia do fortu napotkaliśmy Polskę w postaci budynku konsulatu generalnego Rzeczypospolitej - dość szczególne, bo większość przedstawicielstw dyplomatycznych przeniosła się już do dzielnicy Makati).

W samym forcie mieści się muzeum Jose Rizala (a w zasadzie świątynia - Rizal Shrine). Rizal to bohater narodowy Filipińczyków, rozstrzelany przez Hiszpanów w 1896. W swoim krótkim, trzydziestoletnim życiu zdążył zostać lekarzem-okulistą, rzeźbiarzem, rysownikiem, poliglotą, tłumaczem, politykiem, zoologiem, pisarzem, a na koniec męczennikiem sprawy narodowej. Obydwie nowele Rizala są od zawsze lekturą obowiązkową w filipińskich liceach i są mocno w wymowie antyklerykalne. Nie chcę odbierać przyjemności lektury, ale generalnie chodzi o złowieszczego księdza, który nie potrafił nad chuciami zapanować. [Na polski przełożyła](#) Zofia Wasitowa.

Rizal stał się filipińskim świeckim świętym (a w niektórych rejonach archipelagu wręcz otacza się go kultem, uważa za mesjasza i wyczekuje paruzji), każde miasteczko ma ulicę jego imienia, jego oblicze można znaleźć na znaczkach, pudełkach od zapalek i różnych innych niespodziewanych produktach (w tym na monecie o nominale jednego peso). Oprócz fortu Santiago, gdzie przebywał uwięziony oczekując egzekucji, wciąż otacza się również miejsce jego rozstrzelania w parku miejskim (w hiszpańskich czasach zwanym Lunetą, a obecnie, jak można łatwo zgadnąć, Parkiem Rizala). Oprócz pomnika ze zmieniającą się co dwie godziny wartą honorową jest tam też jezioro z fontannami otoczone posągami wybitnych synów i cór narodu (coś jak panteon), ogród chiński i miejsce gdzie zaprzysięgają się prezydenci Filipin.

Filipińczycy otaczają swoich oligarchów szacunkiem. To, że ktoś dostał coś od państwa za darmo, albo za małe pieniądze, a potem sprzedał za bardzo duże, to - w ich opinii - raczej powód do dumy, niż zażenowania. Tak na przykład, monopol na developerkę w Manili ma rodzina Ayala, która jest właścicielem całych dzielnic (między innymi Makati), w których utrzymuje własną policję i własne przepisy (głównie obliczone na zapobieganie napływowi biedoty). Część Makati stanowią tzw. exclusive villages, czyli ogrodzone, chronione osiedla. Przejeżdżaliśmy ulicą zabudowaną z obu stron wysokimi murami, a nasz przewodnik w podnieceniu graniczącym z ekstazą wskazywał na poszczególne bramy i wymieniał mieszkańców niewidocznych rezydencji.

Makati powstało w miejscu dawnego lotniska Manili funkcjonującego w latach 30 i 40 ubiegłego wieku. Przecinające się Ayala i Makati Avenue to niegdyś pasy startowe, dawny terminal pasażerski jest obecnie modną restauracją, pozostała również dawna wieża kontroli lotów, obecnie "przerośnięta" przez sąsiednie budynki.

Pasay jest troszkę starszą dzielnicą, powstałą w czasach prezydentury Marcosa (a w zasadzie obojga Marcosów) nad brzegiem Zatoki Filipińskiej, a zaplanowaną jako centrum kulturalne stolicy. Zwraca uwagę brutalistyczny, betonowy gmach CCP (Cultural Center of Philippines), mieszczący salę widowiskową, filharmonię i szereg muzeów. W pobliżu znajduje się Coconut Palace zbudowany w latach 80 kosztem skromnych 37 milionów dolarów przez Imeldę Marcos z przeznaczeniem na rezydencję papieską. JP2 podczas wizyty na Filipinach nie skorzystał z pałacu, który od tego czasu stoi niezamieszkały. Obecnie trwają prace przed udostępnieniem go publiczności do zwiedzania.

Podobnym falstartem okazał się meczet wybudowany Muamarowi Kaddafiemu do otwierania - libijski przywódca nigdy nie odwiedził Filipin. Innym projektem Imeldy Marcos jest tzw. Casa Manila, muzeum eksponujące zrekonstruowane wnętrza kolonialne z oryginalnymi meblami i innymi elementami wyposażenia. Casa Manila

znajduje się naprzeciwko San Augustin (jedyne niezniszczonego w czasie wojny barokowego kościoła). I tak wróciliśmy do Intramuros, skąd zaczynał się nasz krótki spacer po stolicy Filipin.

PS. Teraz jesteśmy, jak już wspomniałem, 450 kilometrów na północ od Manili, w okolicy Banaue. Internetu tu kiepskie, więc sprawozdamy się szczegółowo za kilka dni.